Tom XI. Nr. 16.

1. grudnia 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Skała we wsi Spasie.

Każdy wie to dobrze i widzi na własne oczy, jakie góry wysokie porobił Pan Bóg między polskim krajem a Węgrami. Gdy się popatrzysz ku południowi, to widzisz góry na góry i sine lasy, a gdybyś chciał pójść do Węgier, gdzie to rośnie wino, to byś się dobrze zadychał, nim byś te góry przeszedł.

Otóż nie daleko Sambora leży między takiemi górami wieś jedna, co się zowie Spas, a w tej wsi stoi kamień wielki, gdyby jaka dzwonnica, dokoła porosły mchem, ni to trawą drobniutką, a jest on na samym wierzchołku równy i szeroki, że można tam sobie siedzieć i patrzyć daleko na świat boży. Otóż ja przejeżdżałem tamtędy i zebrała mię ciekawość wielka pójść i zobaczyć ten kamień.

Przychydzę tam i patrzę do góry, aż mi kapelusz zleciał z głowy i nuż ja na ten kamień leźć i leźć, aż za pomocą Boga wydrapałem się do góry i usiadłem sobie. Wtem wylazł tam także jeden chłopak i powitaliśmy się jako polacy i katolicy, a ja go zapytałem:

— A nie wiesz ty chłopaczku! czy tu nie ma we wsi pamiętnika jakiego o tym kamieniu?

A on mi na to:

— A na co ta kogo szukać, kiedy tu wie każdy, co to się porobiło raz na tym kamieniu, i jak tu Bóg pokarał kmiecego syna na tem miejscu.

A ja zaraz do chłopaka tak mówię:

— Siadaj sobie na kamieniu i opowiadaj mi to wszystko, co jeno wiesz, a potem pokażesz mi to miejsce kary Bożej na tym kmiecym synu i jak to było.

Chłopak sobie usiadł i jął opowiadać:

— Tu w tej wsi, tam na górce w sadzie, był gazda Iwan Kocurek, a był to gazda co się zowie, bogaty i robotnik do wszystkiego, jak ulał. Co jeno wziął do ręki, to zrobił jakby jaki majster a orał i siał, jak we dworze jakim. To też miał chleba na stole i w stodole, na oborze i w komorze, a pieniędzy i w skrzyni i kieszeni, coby był zapłacił nie jednego pana z całym dworem i gumnami. Zwyczajnie był pobożnym i miłosiernym, pracowitym i nie pijakiem, to mu też Bóg sypał jak z wora jakiego wszystko. A żona jego to jeszcze lepsza, bo cała gromada nasza pamięta ją do dziś, a na jakie 3 mile gadają ludzie wszystko dobre o niej. Choć ta już pomarli dawno, to ich tu każdy pamięta i zmówi paciorek za nimi. A nawet ten kamień nie żywy pamięta ich synalka, co to był ladaco znowu, aż żal o tem gadać.

A ja ciekawy pytam zaraz:

— No! cóż on takiego zrobił? boć przecie dobry ojciec i dobra matka powinni wychować dobre dzieci, a ty mi gadasz, że tacy pobożni ojcowie mieli syna ostatniego draba. A to co znowu?

— Ha! — powiadał mi dalej, — jakoś się porobiło tak, że ojcowie byli miodem dla każdego, a chwałą dla Boga, syn znowu był paskudą i urwipołciem ni do Boga ni do ludzi.

A ja zagadałem na to:

— A co też stary Iwan na to i matka sama?

— A coby robili — rzecze chłopak — krzyczeli, bili, łajali, co jeno mogli, ale jegomość wiedzą, że z błota nie ulepi dobrego

pieca, jeno trza do tego dobrej gliny i plewy lub słomy i trza jeszcze nogami i rękami wymięszać na wszystkie boki, a dopiero wtedy uda się piec. Toż i Makary synek był już taki z rodu i chodu od stóp do głowy jak błoto, bo się walał i tałał za młodu po błocie, a prędzej napotkał go człek przy karczmie, niż przy robocie, prędzej u arendarza niż na nauce u bakałarza. A do kościoła to go trza było za łeb i to na powrozie dobrym prowadzić — on nigdy sam nietrafił do kościoła w biały dzień, ale do karczmy to trafił i o północy. Nie raz wołała matk: Makary! Makary! a na to ojciec stary do niej: Ta idź do arendarza, to on ci powie, gdzie twój synek.

A ja powiadam:

— A czyż to nie było już sposobu na takiego hultaja aby go poprawić, albo czy nie było już kija i kary na to, aby taki młodzik dał się nauczyć?

A ów chłopak mi gada:

— Na co tu było kary szukać daleko, kiedy ją Bóg sam miał przy sobie — a jak Bóg chce pokarać kogo, to drżyj nieboże, bo cię niestanie i marne twe panowanie, a wtedy i żal nie pomoże! Otóż co ojciec Iwan i sama matka i gromada nie poradzili, to poradził sam Bóg. Jak sobie głupi Makaruś brykał i brykał, to za niego stary ojciec robił w chałupie i jakoś trzymał się chleb domu — ale jak stary Iwan i Iwanowa pomarli, to Makaruś w arendzie spiewa, a w domu jego ani soli, ani chleba nie ma — Makaruś sobie tańcuje, a w domu bieda gazduje — Makaruś nic nie robi i nie sieje, a za to kąkol z pokrzywą się cieszy i śmieje. I tak widzi jegomość za 3 roczków, jak wyniósł z domu i z gruntu całego, ani tam krowiny, ani chleba odrobiny, ani łacha poczciwego, ani obuwia dobrego, jeno za to arendarz zbogacił się niezmiernie. A nasz panicz Makaruś zeszedł na ostatnią biedę i stał się łajdaczyną w gromadzie. Jeno zostawił stary Iwan testament gdzie było 50 talarków srebrnych przeznaczone na wieczne czasy do kościoła, aby się co rok odprawiało nabożeństwo za duszę Iwana i Iwanowej.

A ja przerwałem chłopakowi mówiąc:

— A któż to wziął te talarki, że je Makaruś zbijaez nie przemarnował?

A chłopak mówił:

— Te talarki, zaszyte w worku, wzięła gromada i miała kupić dom na szkołę, a z tego domu miał iść dochód na mszę św. co rok za tych Iwanów nieboszczyków — ale znowu porobiło się inaczej. Bo widzi jegomość! jakoś się upamiętał Makaruś i jakiś czas zaczynał się brać do roboty i chodził do xiędza i do wójta i musiał prosić i obiecywać poprawę, skoro xiądz i gromada pożyczyli mu połowę z tych talarków na pierwszy dorobek i obiecali mu dać i drugą połowę, jak zobaczą, że on się bierze na prawdę do roboty i poprawy.

Ja ciekawy i ucieszony poprawą Makarego, zapytałem prędziuśko:

— No! i cóż się też stało? Czy się poprawił i został gazdą pobożnym i porządnym?

— Ale gdzie tam — gadał chłopak — toć jegomość wiedzą, że pijacy, złodzieje i wszetecznicy nie wnijdą do królestwa niebieskiego, dla nich trudna poprawa. A jak nas uczą w szkole, to pono pijak każdy to tak, jak piasek — lej wodę i lej, a ona gdzieś w piasku ginie, a znowu niech piasek wyschnie, to ci się popada i masz znowu kurzawę z niego — a cóż ci z takiego piasku czy to w gruncie, czy na drodze? I pijak pije i nie ma w nim dna, a jak nie pije, to skurczony i głupi i nie ma z niego nigdy nic dobrego

A ja zadumałem się na to mądre gadanie tego chłopaka i pytałem go:

— A gdzie ty się wyuczył tak ładnie i mądrze gadać? Czy może od ojca?

A on mi odrzekł:

— A gdzieby indziej, jak nie w szkole u Ojców Bazylianów! Toć ukończyłem wszystkie klasy i siedziałem we wszystkich ławkach i mam zaświadczenie szkolne i dwie książki i obrazków 10, com dostał za naukę, a umiem każdy list odczytać i napisać, a numera wszystkie do razu zgadnę.

— No! to dobrze, mówiłem mu, toż widzisz, jak to nauka i szkoła potrzebna. I pewnie ten Makaruś nie cho-

dził do szkoły, bo by było inaczej z nim. Ale co się też stało dalej z nim?

— Wszystko źle, mówił mi chłopak. Dali mu 25 talarków na dorobek — on sobie kupił byczki do roboty i zaczął coś dłubać w ogrodzie i koło chałupy i coś rok jeden sfolgował w pijaństwie i prosił gromady, aby mu drugie 25 talarków pożyczyli na wóz i pług. I ci mu dali.

Jak też złapał do garści te pieniądze to wyprowadził byczki do miasta i gadał każdemu, że on sobie myśli kupić parę koni, aby mu prędzej szła robota. A ludziska wierzyli. Wtem nie ma Makarego cały tydzień, a ludzie gadali, że poszedł daleko za końmi na jarmark — ale gdzie on tam myślał o jarmarku, on na nowo zaczął pić i przepił 10 talarków przez tydzień z tych pieniędzy, które miały być na mszę św. za nieboszczyków ojców i potem powrócił do domu. Wytrzymał jakoś do niedzieli — aż rano zaraz nasz Mąkary sunie prosto do arendy i jak sobie podochocił, wtedy nie wiedział już co robić aż wylazł tu na ten kamień i zaczął gwałtować i spiewać. Ale widać czekał Bóg darmo rok poprawy, widać tu mu Bóg wyznaczył granicę, widać powiedział mu z nieba: Tu nieboże skończysz za twoje grzechy! i tak też zakręciło mu się w głowie i spadł tu z kamienia tak, że nogi i ręce połamał, nawet palce pokrzywiły się mu, oczy mu wylazły a głowa aż na 4 części się rozleciała. I nawet do człowieka nie było to podobne.

I pokazał mi potem ten chłopak to miejsce gdzie się zabił pijaczyna i hultaisko Makary, gdzie Bóg sprawiedliwy pokarał tak strasznie twardego i niepoprawnego grzesznika. A ja zlazłem z kamienia na dół i opatrzyłem to miejsce, gdzie leżał ten Makary, podumałem sobie, jacy to ludzie niektórzy nierozumni, że chcą być mocniejsi od Boga, westchnąłem sobie: Hej! hej! mocny Boże! do czego to prowadzą grzechy wszystkie?

A potem tak gadałem do chłopaka i do tych ludzi, co tam stali z nami:

— Otóż macie i tu między górami i lasami znowu dowód kary bożej dla niedobrych ludzi! Widzicie na żywe oczy, że Bóg karze ludzi prędzej czy później, jak się nie poprawią

— jednego zaraz za młodu, drugiego w starości, trzeciego przy śmierci, a znowu resztę kary chowa aż na tamten świat i tam dopiero oddaje każdemu, jak sobie zasłuży. Czyż nie lepiej to słuchać Boga za życia, a potem się z nim cieszyć na wieki? Czyż to warta aby za kilka lat życia grzesznego być potem karanym po śmierci?

I tak pogadaliśmy sobie o tym przytrafunku i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę, a ja spisałem to do Dzwonka, aby w całym polskim kraju wiedzieli ludzie, jak to Bóg karze grzeszników na całym świecie, i aby polscy chłopi wystrzegali się wszystkich grzechów.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Wieśniak polski.

Wieśniak nasz polski to od wszystkich inny,
Nad wszystkie ziemie kocha kraj rodzinny,
Do życia jego nie wiele potrzeba,
Na własnej skibie kęs własnego chleba.

Trudno go skusić, trudno na złe radzić,
Na kręte ścieszki nie da się sprowadzić,
Bo czy to w rządzie, czy to w sądzie stawa;
On naprzód pyta: czy to z Bogiem sprawa?

Wesoła praca to jego uciecha,
Świat: to wieś jego i domowa strzecha,
Tu się urodził, tu by rad umierać,
W nie swoje sprawy nie lubi się wdzierać.

Ni się zbyt smuci, ni się zbyt raduje,
Bo się przechodniem na tym świecie czuje,
Wierzy że człowiek jeśli jest uczciwym,
Za łaską Bożą może być szczęśliwym.

Pracujcież tedy w serdecznej miłości
Do swej ojczyzny, do tej polskiej ziemi,
Gdzie waszych ojców spoczywają kości,
Zostańcie zawsze kmiotkami polskiemi!

Raz kozie śmierć!

Opowiedział Janek z Bielca.

IV.

Przed karczmą zwaną na Wygodzie, stało coś z ośm wozów. Szkapska dzwoniły zębami, a z izby karczemnej wychodziły głosy wielu ludzi, rozmawiających, krzyczących i spiewających. Kiedy Marcinowie weszli do izby, zaraz poskoczyli do nich znajomi i przyjaciele, i dalej w witania, w całowania i w różne rozmowy. Z kieliszkiem więc na nowo zaczęła się robota, kwaterka szła za kwaterką, języki stawały się coraz mowniejsze, mowa głośniejszą, całowania częstsze, gdy nagle drzwi się otworzyły i wszedł Bartłomiej.

— Witajcie! — odezwało się kilka głosów, — gdzie się to chowacie, że was oko teraz nie postrzeże?

Marcinowie zobaczywszy kuma, ze złości aż pokraśnieli; sam zaś Marcin ścisnął pięści i kazał dać nową kwaterkę. Że jednak w karczmie było troszkę przyciemno, więc Bartłomiej zaczął się przyglądać ludziom. Wtem nagle rozjaśniło się w izbie, dwaj kumowie spojrzeli sobie w oczy, ale zamiast z pięściami, Bartłomiej przystąpił do Marcina z przyjaźnią i objąwszy za szyję, zaczął go ściskać i całować. Marcinowej to strasznie niepodobało się, bo przypomniała sobie w tej chwili bębnienie po plecach, przysunęła się więc do męża i szepnęła mu półgłosem:

— Marcin! ja ledwo plecami ruszam, a ty się przyjaźnisz. On cię tak sponiewierał słowami, przezywał jak ostatniego, odgrażał się! Marcin, nie bądź głupi, odtrąć nieprzyjaciela. Słyszałeś?

Bartłomiej tych podszeptów dosłyszał, więc pragnąc ułagodzić kumę, obrócił się ku niej i chciał ją ująć w przeprosinach za nogi; ale zawziętą kobietę nie łatwo przebłagasz, i łatwiej jej o uderzenie jak o przebaczenie. Zobaczywszy zatem, że Bartłomiej nachyła się, że teraz może wziąć nad nim górę, krzyknęła całem gardłem, jakby ją kto ze skóry obdzierał:

— Marcinie! ratuj! — i jakby w przewrocie nachyliwszy się nad Bartłomiejem, obaliła go na ziemię i zaczęła bić po twarzy, że tylko rozlegało się w izbie. Marcin na krzyk żony poskoczył, i dalej kuma drzeć za czupryne, i byliby go porządnie sponiewierali, bo niespodzianie tak napadnięty, nie mógł myśleć o obronie, ale niektórzy ujęli się za pokrzywdzonym i zaczęli Marcinów odciągać. Rozpoczęło się więc szarpanie, popychanie, a że wszyscy nie byli już z próżnemi głowami, więc wprędce od słów przyszło do odgróżek, do wymyślań, potem do pięści, do czupryny i cała izba karczemna zakotłowała się bijącymi, krzyczącymi i przeklinającymi. Że zaś w miarę przedłużania się bitwy, rosła zawziętość, pomału więc możeby przyszło do jakiego strasznego wypadku, ale szynkarka przyzwyczajona do podobnych zabijatyk, widząc że prośbą ani groźbą nic nie zrobi, złapała dwie konewki zimnej wody i zaczęła nią chlustać po bijących się. Sposób ten zawsze z wielkim pożytkiem na gryzących się psów używany, i tu poskutkował, bo bijący otrzepując się z wody, rozpierzchli się na wszystkie strony, a Bartłomieja porwali rozważniejsi i wyprowadzili z izby. Marcinowie więc sami z kilkoma sąsiadami zostali w karczmie i upiwszy się na nowo, wyruszyli dopiero w drogę późnym wieczorem.

Kiedy na drugi dzień Marcinowie już dobrze na dzień popodnosili się z posłania, oboje po wywrocie i bitce w karczmie wyglądali jak poczwary. On był pokrwawiony, zapuchnięty, ona unurzana w błocie, zabaćkana, zawalana. Stękał Marcin, Marcinowa jęczała, i byliby może nie prędko skończyli swoje żale, ale Marcinowa obszukując ciągle koło siebie, krzyknęła przeraźliwym głosem:

— Jezus Marya! Pieniądze nam zginęły!

Marcin skoczył jak oparzony, zaczął się kręcić, szukać to po kieszeniach, to po izbie, wybiegł na dwór, przeszukał na wozie, na podwórzu, na drodze, potem dojechał do miejsca gdzie przewrócili, do karczmy gdzie się bili, pytał tego i owego, prosił, zaklinał, obiecywał, ale wszystko napróżno, pieniądze przepadły, jak kamień rzucony w wodę. Przed wieczorem więc, Marcin zmartwiony, głodny, wybiedzony wczorajszą hu-

lanką, nocnym niewczasem i całodniowem szukaniem pieniędzy, siedział w izbie trzymając się za głowę, a Marcinowa łamiąc ręce, przechodziła od kąta do kąta i głośno wywodziła swoje żale:

— To mi dopiero zarobek! Przeszło sto złotych poszło na marność. A mówiłam, żeby nie przedawać dobytku, prosiłam nieraz ze łzami żeby przybić targu, ale ty zawsze lubisz się rządzić swoim głupim rozumem, ot! i cała chudoba poszła z wiatrem....

— Cicho Basiu, cicho, nie krzycz tak głośno...

— W bolu serca nie ma człek pomiarkowania — wrzasnęła jeszcze głośniej Marcinowa — teraz nasze gospodarstwo i torby sieczki nie warte. Ratować się nie ma czem, w domu ani grosza, w komorze ani ziarnka zboża, w oborze pusto, to samo w chlewie, więc i cóż poradzimy?

— Potem się o tem rozgadamy, a teraz nie krzycz, bo ludzie usłyszą....

— A to niech usłyszą — z jednym zawsze krzykiem odrzekła Marcinowa — wziąłeś mnie z bogactwa, nie z biedy, to teraz radź, żebym miała wszystko jak wypada. Ja do ubóstwa nie przyzwyczajona, tylko do dostatków, a tu gospodarstwo — Boże zmiłuj się....

— Ej Basiu, cicho! — krzyknął Marcin wysuwając pięście — bo jak cię uchwycę, to zobaczysz....

— Co zobaczę, co? twoje hultajstwo? Żebyś się na mnie odważył, to bym ci oczy wydrapała, ty pijaku, hultaju, nicponiu, próżniaku!...

— Ja pijak? ja próżniak? — wrzasnął Marcin i postąpiwszy parę kroków, już chciał żonę pięścią zamalować, gdy wtem drzwi się otworzyły i wszedł do izby Janek Palczak. Marcin odskoczył zaraz od żony, a Marcinowa rzekła z przekąsem:

— I czegóż nas nachodzicie? Czy przyszliście ze szpiegowaniem!

— Nie, Marcinowa — odrzekł poważnie Janek — przyszedłem nie z ciekawością, tylko z poczciwem słowem i z dobrą radą.

— Jeżeli rada wasza pieniędzy nam nie wróci, to ją schowajcie dla drugich.

— Wróci i z prowizyą, tylko hardość wyrzućcie z serca.

— A to jakim sposobem?

— Moi Marcinowie, nie macie co przedemną skrywać. Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Przez próżniactwo straciliście wszystko, przez statek i pracę odzyskacie to, coście roztrwonili. Zarobku wszędzie po uszy, tylko rąk nie ma do roboty, więc w imię Boże weźcie się do pracy, a Bóg pobłogosławi, ludzie dopomogą i znowu porośniecie w pierze.

— Taką radę to zna i malutkie dziecko — odezwała się na to Marcinowa — a jeżeli nie macie nic lepszego do powiedzenia, to idźcie z Bogiem i nami się nie frasujcie.

— Ha! to i pójdę — odrzekł Janek — ale pamiętajcie, że biorąc tylko po groszu, przebierze się największy majątek, a składając po groszu, nawet z nędzy przychodzi się do pieniędzy, a potem do majątku. Bo próżniactwo to grzech, a praca to błogosławieństwo Boskie; z grzechu zaś nigdy dobre nie wyrasta, tylko bieda, ucisk, kłótnia, zmartwienie i nieszczęście.

Po wyjściu Janka, Marcinowie nie przemówili do siebie i jednego już słowa, tylko Marcinowa parę razy mruknęła, zajrzawszy do garczków że próżne. Poszła potem do komory, ale i tam pustki zastała; zafrasowała się więc nie pomału, co zobaczywszy Marcin, w kilka dni rzekł do żony:

— Wiesz co Basiu, że Janek może ma i racyą, żeby wziąść się do roboty. Co tam! raz kozie śmierć! Chwycę się jakiej roboty, to przecie prędzej chałupa zapachnie jakimś groszem.

Nauka więc w las nie poszła. Za Marcinem poszła też Marcinowa, i jak dawniej próżnowali i balowali, tak dziś pracują i statkują. Do dawnej wprawdzie zamożności jeszcze im daleko, ale nie ma już biedy, i przy Boskiej pomocy jest nadzieja, że wprędce całe gospodarstwo nową zakwitnie pomyślnością. Wprawdzie Marcin nie oduczył się swego przysłowia: raz kozie śmierć! ale go używa w poczciwej myśli, kiedy przeprze lenistwo, a weźmie się do pracy.

(*Z kalendarza warszawskiego dla ludu.*)

Prawdziwe zdarzenie.

Pisanie do pana pisarza Dzwonka.

Panie pisarzu!

Moje pisanie może będzie ciekawością dla was, a znowu nauką dla wszystkich braci i siόstr po wsiach. Oto jadąc do Przemyśla wstąpiłem po znajomości do Medyki do xiędza Wojciecha, który nam nieraz pisuje różne ciekawości do Dzwonka. Powitaliśmy się po Bogu i po polsku, ale jakoś mi posmutniał xiądz Wojciech. Pytam co? jak? czy jaka choroba, czy przytrafunek? ale xiądz na to wszystko ani słówka, jeno siedzi zadumany, a czasem pokaże się w oku i łezka maleńka. Aż przecie rozgadał się i mówi mi:

— Źle na świecie! bardzo źle! mój panie ojcze! Ludzie okpiewają obłudą jeden drugiego, ale co gorzej, chcą oni okpiewać i Pana Boga udaną pobożnością. Nieraz klękają pod figurą, a mają czarta rogatego za skórą — udają baranka, a są wilkiem zjadliwym — są nito jabłonią słodką, a rodzą leśne płonki — są ni to polskimi katolikami, a w duszy to siarczyste faryzeusze. I na co się przyda nauka w kościele i szkole?

Zaczął biedny xiądz lamencić i płakać. Mnie samemu zrobiło się trochę ckliwo wedle serca, boć ta i ja miękki jak świeże masło, a jak jeno kto zabeczy, to ja z nim płakałbym i noc całą. Ale pytam xiędza:

— Ta cóż się jegomości stało takiego?

On mi na to:

— Mój panie ojcze! ot zmarnowała się znowu jedna dusza — pójdzie nieboga na potępienie, jeżeli się Bóg nie zmiłuje i nie przemieni.

A ja ciekawy, jakby mię warem gorącym oblał, pytam dalej:

— No cóż tam znowu nowego?

Xiądz Wojciech mówił rozżalony:

— Ot widzicie! znałem od kilku lat pobożną dziewczynkę, gdzieś tam od Brzezowa rodem; miała ona łachy żałobne na sobie, jakby zakonnica, u paska poświęconego wisiała koronka,

pod szyją wisiał szkaplerz i medalik Najświętszej Panny, na głowie miała zasłonę, aby nie patrzyć na pokusy świata, ale patrzyć ciągle na Boga w Niebie, za pazuchą miała książkę do modlenia — pościła ona ostro, chodziła boso na mrozie do kościoła, leżała krzyżem przed ołtarzem Pana Jezusa, po całych nocach spiewała pobożne pieśni, nie klęła i nie raz na gołej ziemi bez przykrycia spała — a szła wam z odpustu na odpust i znała po całej Galicyi wszystkie cudowne miejsca. I widzicie mój panie ojcze, że to była jeno obłuda czysta, jeno oszukaństwo ludzi, jeno obraza boska!

Ja rozciekawiony pytam:

— No! czy się dopuściła czego złego? Czy komu zrobiła jaką psotę albo co takiego?

A xiądz Wojciech powiada:

— O nie! ona zrobiła świętokradztwo wielkie! bo uważajcie sobie, jak to było. Szła w lecie tego roku z Milatyna na Kalwaryę i spoczywała na plebanii u mnie kilka dni. I któż się mógł spodziać, że w tej duszy nie było ani iskierki bojaźni bożej? Bo to widzicie wzięła z mej izby klucz od kościoła pokryjomu i poszła sobie do zakrystyi, tam wysunęła szufladę i ukradła bieliznę kościelną na jakie 50 reńskich. Jaka tam ręka bezbożna u niej, aby okradać kościół boży w biały dzień? Ale co jeszcze straszniejszego! Oto ściągnęła obrós z ołtarza Pana Jezusa, przed którym nie raz całe pół dnia klęczała i krzyżem leżała, a potem ściągnęła czarną firankę z samego Pana Jezusa — że to temu ręka nie zadrżała i serce nie zapukało na taką robotę grzeszną! I widzicie związała sobie węzełek i poszła na Kalwaryę, aby tam okpiewać ludzi, brać od nich jałmużnę i obrażać Boga dalej. Widać nie była tam do spowiedzi św., a może się spowiadała po świętokradzku; tak szła przez Przemyśl pono do Leżajska, a wtedy ją łap policaj jeden, i sam powiadał, że jakby mu coś gadało do ucha: Złap tę bezbożnicę i prowadź do rewizyi.

I zaprowadził ją na ratusz, rozwiązał węzełek, a tu aż go strach wielki ogarnął, gdy zobaczył bieliznę kościelną, firankę z ołtarza i tę śliczną chustkę, w której nosi xiądz monstrancyę za procesyą. I dopiero przy ostrej komisyi przyznała

się do kradzieży i to nie do jednej, a teraz pójdzie na całe życie do kryminału. Otóż to pobożność taka.

A ja zadumałem się na to strasznie i mówię do xiędza tak:

— Mój jegomość! Dziś bardzo dużo próżniaków włóczy się po odpustach! Jacy to dziady dziś to aż grzech mówić, bo to zdrów jak dąb, robić się temu nie chce, torby zawiesi i idzie w świat, ludzie dają jeść, a jak braknie, to trza i ukraść, bo sam chleb nie lezie nikomu do gęby. A ile to dziewek i bab takich po odpustach dziś? Toć Bóg karze za to i tych bezbożników i tych ludzi, co to dają darmo jeść tym próżniakom. I prawdę jegomość mówią, że dużo, dużo obłudy dziś na świecie bożym, ale niech Bóg każdego ochrania od tego grzechu, bo prędzej czy później wylezie oliwa na wierzch!

Otóż odjechałem z Medyki, markociłem się bardzo nad tym wypadkiem strasznym, a piszę też to samo do Dzwonka, aby o tem wiedzieli i drudzy i nie byli takimi bezbożnikami — a teraz oddaję was Bogu panie pisarzu.

Karol Szymek, kmieć z Lipówki.

Pogadanka gospodarska.

Piotr. Powiedzcie mi, kumotrze, jak wy też przezimujecie wasze bydło? Boćto tej paszy tak mało!

Wojciech. Prawda, że mało, ale ja sobie tak myślę, że i to mało wystarczy, bo przypominam sobie słowa mojego dziada, (świeć panie nad duszą jego) który tak mówił: Jak się jakie zboże nie uda, to nie bywa drogie.

Piotr. Ale Wojciechu! co wy też to gadacie, przecież to każdy wie, że jak się co nie uda, to musi być drogie, jak też widzimy, że się pasza nie udała i jest drogą.

Wojciech. Mój dziad jeszcze to dodał: Jak się co nie obrodzi, to każdy oszczędza i nic nie zmarnuje, a czego jest dość, to się też dość zmarnuje. Powiadacie, że tego roku pasza się nie udała, lepiej żebyście powiedzieli, że ludzie wiele paszy zmarnowali to na polu, to na łące. Co to siana pogniło, potrawu, słomy, bo mokro sprzątali, a w kopach zboże porosło, a słoma

pogniła, nie jestże to zmarnowanie? Powiadacie, że tego roku pasza droga. Tak jest, ale dla kogoż to jest droga? Oto dla tych co roli nie mają, tylko ją kupić muszą, ale nie dla rolnika, który może sobie przysposobić paszy podostatkiem.

Piotr. Prawdać to jest co mówicie, ale człowiek mizerny musi się na wolą Pana Boga spuścić, jak nam ześle deszcz, toć nie możemy sprzątać.

Wojciech. Tak jest, nie możemy sprzątać, bo nie chcemy od zastarzałego zwyczaju odstąpić. Ja od wielu lat zawsze sucho sprzątałem, bo skoro pogoda, to roboty na jutro nie odkładam. I tak mój kumotrze, wszakże w jeden dzień posiekliśmy nasze łąki, ja na trzeci dzień miałem moje siano w kupkach małych, a wasze leżało na pokosach, boście oto czekali, żeby wam uschło bez rozrzucania, (do czego przynajmniej cały tydzień potrzeba) a tu deszcz zaskoczył i padał przeszło tydzień. Wasze siano wymokło, poczerniało i straciło pożywne części. Gdybyście tak samo byli się wzięli do siana, bylibyście takie dobrze sprzątnęli, jak ja.

Piotr. A toć to prawda, jak na dłoni, ale już się szkoda nie wróci i tembardziej trapię się, jak bydło przezimować.

Wojciech. Otóż opowiem wam, jakeście mnie naprzód zapytali. Od wielu lat u mnie jest taki porządek: Jak mam dość słomy i siana, to każę słomę rzaną i pszeniczną ze sianem zmieszać i zakładać bydłu przez jeden tydzień, na drugi tydzień biorę jęczmionkę i owsiankę, mieszam też ze sianem i tak zadaję bydłu. Co tydzień zmieniam tę paszę, bo odmiana sprawia bydłu apetyt, a gdy się zawsze jednakowa zadaje, to bydłu się uprzykrzy i idzie wiele w gnój. Jednakowoż i przy takiem paszeniu idzie wiele słomy na ściółkę, a więc narobi się wiele gnoju. — Jeżeli mam mało paszy, jak w tym roku, to słomę rzaną, pszenną, jęczmiankę, prośniankę i owsiankę każę ze sianem razem na sieczkę rznąć i spasać. Na noc tylko długą słomę zakłada się, żeby sobie bydło sieczkę, która w gębie została, przetarło. Tym sposobem bydło regularnie pasione sieczkę taką smacznie wyjada i nietylko nic nie zepsuje, ale łatwiej trawi i dobrze wygląda. Jeżeli chcecie swoje bydło utrzymać dobrze przy szczupłej paszy, tedy każcie też sieczkę tak przyrządzoną zadawać.

Piotr. Bóg zapłać wam za dobrą radę, aż mi lżej na sercu i od dziś tak samo moje bydło będę karmił, ale to dopiero jeden kłopot z głowy, a drugi: skądże wezmę ściółkę pod bydło, kiedy słomy mało?

Wojciech. Mój kumotrze, już od dwóch lat widzieliście, że kazałem na mojej łące rowy bić, a na polu stare odnawiać i wszystką wyrzuconą ziemię, jakem tylko na wiosnę ukończył siewy, zwiozłem na podwórze, bom słyszał, że i ziemia może służyć za ściołkę pod bydło. Otoż w przeszłym roku taką próbę zrobiłem t. j. podrzucałem ziemię pod bydło, porzniętą słomę krótko słałem na wierzch ziemi, żeby się bydło nie walało. Bydło sucho leżało, a gnój zrobił się bardzo dobry, bo gnojówka wsiąkła w rozrzuconą ziemię, nie mogła odciekać i marnować się na podwórzu. Na tym gnoju udała mi się wyborna pszenica i żyto. Tej ziemi mam jak wiecie jeszcze dość na podwórzu, i bardzo mi się teraz przyda, bo słomy mało.

Piotr. Jest to wszystko ładnie, co wy mówicie, ale tyle roboty, ziemię z pola i łąki zwozić do domu i potem znowu na pole, ktoby tam wystarczył robotą.

Wojciech. Właśnie taka praca powinna nas samych napędzać, bo z pewnością możemy się spodziewać dobrych i pewnych urodzajów. W tym roku pognoiłem jeden morg łąki takim gnojem, co to była za gęsta i wielka trawa, więc przekonałem się, że i na łąki jest dobra. Koniec końcem ja odtąd, choćbym miał najwięcej słomy, to będę ziemię pod bydło podścielał, chociaż tylko mało. W tym roku zacząłem inaczej; że słomy mało, więc tak sobie postępuję: Każę pod bydło ziemię rozrzucić na jednę stopę grubo, a na wierzch codzień gnojem końskim ziemię pokryć. Otoż bydło leży sucho, gnój koński nie będzie się na kupie palił i marnował, ale tak zmieszany ze ziemią i odchodami bydlęcemi, będzie bardzo dobry, a im dłużej zostanie pod bydłem, tem lepszy będzie. Każę co 4 tygodnie go wyrzucać i zaraz na pole wywozić. Żeby bydłu było wygodnie leżeć, to trzeba od tyłu, ku korytom równo go rozłożyć.

Piotr. Jać sobie ziemi nie nawiozłem; bo mi się temu nie chciało wierzyć, a teraz już zapóżno, ale przynajmniej spróbuję jednej waszej rady t. j. końskiego gnoju będę używał za ściółkę pod bydło, żebym sobie słomy ochronił. (*Sz. N.*)

RÓŻNOŚCI.

Dalsza historya o dowcipnym żydzie. Nie dokończyliśmy wam jeszcze, ludkowie, w zupełności historyi o onym dowcipnym żydku, co to jadąc po Wiśle do Warszawy dowcipem swym tyle półzłotków nawyciągał panom z kieszeni. Otóż powiem wam jeszcze, że jak przyjechali do War-

szawy, tak zaraz każdy poszedł w swą stronę, pilnując swego interesu Na drugi czy na trzeci dzień idzie sobie mój Mosiek do jednej oberzy, a że to był dzień skwarny, każe sobie dać szklankę piwa na ochłodę. Zatem żydek sobie piwko popija, a oczyma strzela na wszystkie strony, aż naraz jak opętany pociągnął się za długie pejsy, zrywa się z swego miejsca i pędzi prosto do panów, co także przyszli do oberzy.

— A dobry wieczór wielmożnemu panu! Nu, to z przeproszeniem pańskiem my sobie jesteśmy znajomi, myśmy razem jechali na statku do Warszawy. — Nu jaśnie panie — jakże interesa? Zrobił pan dobry interes? Kiedy pan zrobił dobry interes — nu — co to wielkiego, zróbmy też ze sobą interes. Ja się będę założyć, że pan nie potrafi za mną powtórzyć trzy słowa, co ja będzie je wymówił. Niech będzie talar zakład!

— A bodajże cię, myśli sobie on pan, już mi tu znów chcesz zajrzeć do kieszeni. Wziąłeś mi prawda pare groszy, aleć to nic. Mam czy nie mam talara, to mi wszystko po równości, a zaś jeno też chciałbym wiedzieć, czy ja za tobą trzech słów nie potrafię powtórzyć. Gadaj żydzie, kiedyś taki mądral, rzecze tedy do niego a patrz, byś nie stracił talarka!

Wszyscy tam obecni panowie okrutnie ciekawi, co to będzie, patrzą wielkiemi oczami na żyda, który tak zaczyna:

— Widły — pan powtarza: widły.

— Olej — pan powtarza: olej.

Żyd milczy teraz chwilkę, wybałusza oczy na onego pana, kiwa głową, ciagnie się za loki, marszczy czoło i kwasi się, jakby kwaterkę octu wypił aż też mówi:

— Źle!

Pan zastanawia się, patrzy na żyda i myśli sobie;

— A co ma być źle! I mówi do żyda:

— Czyś zwaryował żydzie, wszakem ci wszystko odpowiedział dobrze. Żyd tymczasem wyciąga kawałek kredki z kieszeni i robi kreską znak na stole. I prawi: Nu, zacznijmy jeszcze raz:

— Pan — znów on, pan powtarza: pan.

— Gawron — gawron. Żyd znowu coś mruczy pod nosem, kiwa głową i uśmiecha się złośliwie aż też mówi:

— Źle!

Pan tak samo dziwuje się, co to ma znaczyć, zastanawia się, czy gdzie nie zrobił jakiej pomylki i myśli sobie:

Ot głupstwo baje, zobaczę jakie będzie trzecie słowo, przecie do stu katów będę umiał je za nim powtórzyć i zapłacisz żydku talarka. Żyd tymczasem znów robi kreskę na stole.

Ale cóż tam więcej gadania: Zaczynali te same sztuki i tak samo po sześć razy, — a kiedy żydek szóstą kreskę dopisał, podskoczył od stołu, zaciera ręce a oczy mu się błyszczą:

— Ny — proszę wielmożnego pana o sześć talarków.

— Czyś oszalał, żydzie, zawołał ów pan. Ty mi dać musisz sześć talarów a nie ja tobie!

— Uchowaj mnie Boże od takiego nieszczęścia! krzyknie żyd. — Toć są tu panowie jako świadki, żem ja wygrał od pana.

— A to jakiem prawem? pyta się pan.

— No, jakiem prawem, a czy pan mi powtórzył trzecie słowo?

— Jakie trzecie słowo? przecież mi go nie powiedziałeś?

— A gewałt, krzyczy żyd, trzecie słowo było: Źle! a pan go nie powtórzył.

Dopiero pan poznał, że go żyd znów wyprowadził w pole a kiedy i inni tam obecni panowie, śmiejąc się do rozpuku, przyznali, że żyd ma racyą, rad nie rad zapłacił mu sześć talarów. *Sz. N....*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: E. Winiarz. **Z drukarni E. Winiarza.**